



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych o cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincji z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincji z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

OSKAR KOLBERG.

W świecie naukowo-literackim dostąpiła w tych czasach zbiorowego uznania długoletnia, cicha, a wytrwała praca. Oskar Kolberg, najpierwszy z etnografów naszych, otrzymał publiczny wyraz czci za trudy od pół wieku podejmowane. Społeczne to święto zasłużonego człowieka odbyło się d. 31 Maja w sposób poważny: bez bankietów, toastów i zapalów sztucznie podniecanych, bez zwyczajowej przesady i zwyczajowej też obłudy. Każde słowo, które usłyszał jubilat, było szczerem, pod każdym podpisem się mógł człowiek znający zasługi Kolberga i rozumiejący istotę i doniosłość jego pracy. Gorące współczucie zjednoczyło niestrudzonego pracownika z garnącą się do niego w uroczystej chwili gromadą umysłów, a serce Kolberga żywiej uderzyć musiało, gdy przyjmował hołd sobie należny od przedstawicieli tychsamyh miejscowości, w których przed półwiekiem jeszcze rozpoczynał piękne swe znoje. Była to najwznioślejsza chwila całego obchodu.

Kolberg urodził się w Przysusze, w Opoczyńskim, w roku 1815. Ojciec jego Juliusz, był za panowania pruskiego, w tak zwanych Prussach Południowych, geometrą i topografem rządowym. W r. 1808 przeszedł na służbę do Komisji Spraw Wewnętrznych, w roku 1819 został professorem Uniwersytetu Warszawskiego i urząd

ten zajmował aż do śmierci w roku 1831, wykładając topografią i niwellacją. Brodziński, jako kollega, dał mu we wspomnieniach swoich zaszczytne świadectwo podniosłości ducha



Oskar Kolberg.

i zacności charakteru. W domu Kolbergów panowała atmosfera ożywczo działająca na pierś młodą: dzieciom nie brakło tego duchowego powietrza, bez którego nie zdoła nigdy wyrosnąć i rozwinąć się istota czysta, silna a podniosła. Zamiłowany w poezji i muzyce, sam układający hymny pod muzykę Elsnera, Juliusz Kolberg rozbudził w dziecku swoim ten pociąg do pieśni i melodii, z którego później wypromieniły się zdolności, znamionujące już istotny artyzm muzyczny. Muzyka dopiero doprowadziła Oskara Kolberga do etnografii. Uderzony pięknnością melodii, raz znalazłszy się na gruncie życia ludowego, całość już tego życia badaniami swemi ogarniać zaczął i przy systematyczności, wytrwałości i osobistem poświęceniu zebrał przez pół wieku taki ogrom znamion i zjawisk etnologicznych, że owoce jego pracy stanowią już niespożyty spadek dla przyszłości.

Młody Oskar po skończeniu liceum, w 16-ym roku życia utracił ojca, znalazł się w ciężkich warunkach bytu. Przez pewien czas pracował w jednym z kantorów bankierskich w Warszawie. Osobista praca i fundusz rodzinny złożyły się dlań wreszcie na środki do dalszego kształcenia się w muzyce, do której rwała się młoda wyobraźnia. W r. 1835 mógł już młodzieniec wyjechać na naukę do Berlina. Po dwóch latach wrócił do Warszawy, ale nie zdołał tu jeszcze stanąć o własnej sile; w r. 1838/9 widziny go w dalekich stronach, w okolicach Dźwiny i Dniepru, jako nauczyciela domowego. W roku 1839 zaczął zbierać pierwsze pieśni – dla wzbogacenia swej sztuki muzycznej, dla odświeżenia melodii w tejsamej krynicy, z której przed nim już

zaczepnął był Szopen. Odtąd zbieranie pieśni staje się przedmiotem działalności umysłowej Kolberga w corocznych prawie wędrówkach. Jednocześnie działa nie przestaje i muzyk, i to w podwójnym kierunku: jako kompozytor utworów, przeważnie fortepianowych, i jako nauczyciel. Chleba nauczycielskiego wyrzekł się po kilku latach, ale na polu kompozytorskim coraz wyraźniej i poważniej zaznaczał wrodzone swe zdolności. Specjaliści odzywają się o jego utworach z uznaniem, dalekiem od czczego tylko ugrzecznienia. Kuja-wiaki i pieśni z towarzyszeniem fortepianu używały w swoim czasie wziętości. Pogłębiając ciągle swą twórczość, Kolberg napisał operę *Król Pasterzy* do słów Lenartowicza; wystawiono ją w roku 1859 w Teatrze Wielkim w Warszawie. W tym samym czasie podobała się bardzo wdzięczna muzyka do *Janka zpod Ojcowa* Gregorowicza. Według Woycickiego przed dwudziestu laty posiadał najpierwszy dziś etnograf polski w tece swojej gotową operę *Wiesław* do libretta Pruszkowej.

Muzyczną zupełnie postać miały najpierwsze wydawnictwa kolbergowskie, obchodzące już etnografią. Współcześnie ze znanym zbiorem Józefa Konopki, późniejszego swego przyjaciela, a zbieracza przysłów, dotychczas zalegających w rękopismach, wydał Kolberg u Żupańskiego w Poznaniu nuty *in folio* p. t. *Pieśni*. Ofiarował je poprzednikom swoim: Zaleskiemu, Woycickiemu, Paulemu i Konopce. Później pojedynczymi pieśniami zasiłał *Przyjaciela ludu*, a w r. 1859 rozpoczął u Dzwonkowskiego w Warszawie wydawnictwo zeszytowe, również w postaci nut muzycznych.

Przeważa jeszcze muzyk nad etnografem w pierwszym dziele Kolberga należącym już do literatury naukowej. Były to *Pieśni ludu* z różnych stron kraju, przedstawione głównie ze względu na swą muzykalność i opracowane ze stanowiska krytyki muzycznej. Sposób opracowania zbioru dowodzi nie tylko zamiłowania ale i gruntownego wykształcenia w muzyce. Potem pierwszym wydawnictwie, przypadłem na lata 1856/7, nastąpiła przerwa, która wyszła na użytek następnym. Kolberg poznał, że zastosowana metoda utrudni i zaciemni zadanie, jakie samą siłą myśli stanęło teraz przed nim po zebraniu już nader obfitego zasobu w kilkunastoletnich wędrówkach. Następny tom, wyszły w r. 1865 w Warszawie, miał już swoją terytoryalną indywidualność: Sandomierskie, i znamiona dzieła etnograficznego; był książką o ludzie, jego życiu, zwyczajach, obyczajach, wierzeniach, o wszystkich formach przejawiania się jego treści nazewnątrz. Trafił wreszcie Kolberg na ton właściwy.

W latach 1867 i 1869 wydał jeszcze w Warszawie III i IV seryą swego *Ludu*, — włączywszy do niego i wydawnictwo dawniejsze z roku 1857, — i dla braku środków wydawniczych ogłaszanie dalszych tomów zawiesić musiał. Od roku 1861 nie miał już i tej pomocy, jaką mu dawać mogła pensja na urzędzie przy Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej; po szesnastoletniej bowiem służbie usunął się z posady. Gdyby nie pomoc z Krakowa, — z funduszu księcia Jerzego Lubomirskiego, — długo jeszcze mógł być czekać na jakiego mecenasa lub wydawcę, któryby się odważył prowadzić wydawnictwo przy stanie naszej umysłowości mogącej liczyć tylko na uczonych i biblioteki. W r. 1871, otrzymawszy zapewnienie pomocy, opuścił zupełnie Warszawę, zabrał ze sobą swe zbiory i zamieszkał u Józefa Konopki, w Modlnicy pod Krakowem, gdzie przed 30 laty prowadził początkowe jeszcze swe poszukiwania. Szczera przyjaźń złączyła go z tą zacną obywatelską rodziną; dzieci odziedziczyły po rodzicach przywiązanie do przyjaciela. Gdy Józef Konopka umarł w r. 1880, Kolberg napisał mu skromne, ale szczerze, przejrzyste wspomnienie; zpod słów biografą przeblyskuje tu sam człowiek (*).

Fundusz przyrzeczony wystarczył tylko na jeden tom; ale brzemień dalszych wzięła na barki swoje Akademia, której Kolberg był już wtedy

członkiem korespondentem. Po wydanej w r. 1871 pierwszej części „Krakowskiego“ trzy następne ukazały się szybko w latach 1874 i 5. W tym samym roku wyszedł już pierwszy tom „Poznańskiego“ a cała ta prowincja, ze wszystkich najobszerniej opracowana, w r. 1882 miała już część swą ostatnią, siódmą. W latach 1883/4 przybyło „Lubelskie“ w dwóch częściach, w roku 1886 „Kieleckie“ również z dwóch części złożone. Do końca r. 1888 wyszło ogółem dwadzieścia seryi i jedna dwie ostatnie zajmują „Radomskie.“

Ale to jeszcze nie wszystko. Niezależnie od *Ludu* wydał jeszcze Kolberg dwie większe całości: w latach 1885—8 *Mazowsze*, w czterech częściach i w latach 1882—8 *Pokucie*, w trzech tomach. Na pierwsze trzy części *Mazowsza* dostarczyła nakładu jedna z instytucji popierających naukę, ale czwarty musiał autor drukować już własnym kosztem, taksamo, jak i dwa tomy *Pokucia*, którego tom trzeci dopiero wydała ze swoich funduszy Akademia.

Wszystkie te trzy główne dzieła, które nauka i literatura zawdzięczają Kolbergowi, oprócz nut w textcie i w dołącznikach, mają rysunki z wyobrażeniami mieszkań i miejscowości, typów ludzkich, ubiorów, sprzętów i t. d. Rysunków tych dostarczyli: Gerson, Rybkowski, Tadeusz Konopka, Hoff. Do fotodruków służyły fotografie Rzewuskiego i innych. Wydanie wszędzie staranne a choć samoprzebież kosztowne, cena książek jednak wielce przystępna. Pomimo to — wstyd prawdziwie — wydawnictwa te, mówiąc językiem księgarskim, *nie idą*.

W *zbiorze wiadomości do antropologii krajowej* znajdują się niejako dodatki i uzupełnienia do kapitalnego dzieła Kolberga (TT. III, VIII, IX, XIII). Z dawniejszych wspomnień należy w *Bibl. Warszawskiej* z r. 1863 rzecz o zbiorze pieśni szląskich Dra Rogera, a z r. 1871 o pieśniach styryjskich; w *Kłosach* 1880 r. o mapie Geologicznej Gotfryda Ossowskiego. Są prace Kolberga i w *Tyg. Ill.* — głównie wyjątki z tomów przygotowywanych do druku.

Jako pisarz muzyczny zasiłał Kolberg *Encyklopedyą* wielką Orgelbranda, *Ruch muzyczny*, *Gazetę muzyczną i teatralną*.

Bezpośredni świadkowie działalności Kolberga ustanawiają ogrom zasobów nieużytkowanych jeszcze w druku na jakie dwadzieścia tomów. Prawdziwie zdumiewająca pracowitość. Oby los pozwolił zasłużonemu mężowi z zasobów tych w jaknajrozsławniejszym jeszcze zakresie skorzystać!

S. K.

ZŁE I DOBRE.

Złe i dobre... wszystko minie
I w obrachunku godzinie
To tylko ci się zostanie,
Coś czuł, coś myślał — co było
Miłości, nadziei siłą;
Mostem przez życia otchłanie...

Przez wieki wieków ta owa
Drabina jest Jakubowa:
Wytknięta przez błękit droga.
Gwiazd ją związały łańcuchy
I po niej stąpają duchy,
Szukając w przestworach Boga.

M. I.

WYSTAWA PRACY KOBIECEJ w Muzeum Przemysłowo-Rolniczem.

(Dalszy ciąg).

Szkoła p. Heleny Gabryelowej, założona w r. 1880, ma wysoką zasługę pierwszej w Królestwie szkoły koronkarstwa, która jest obok tego bezpłatną, więc może być nazwana instytucją filantropijną. Pobierały w niej, pierwszą u nas w ochronach naukę koronkarstwa dziewczynki z ochron warszawskich: VI, VII, XVII, oraz ze szkół elementarnych: rządowej na Lesznie, z ulicy Pańskiej, z ulicy Obożnej, z Pragi, ze szkoły Tow. Dobroczynności. Obok tego uczyły się tu dziewczynki przysłane przez zakonnice z Siedlec. P. Gabryelowa przygotowała dla tych biednych uczennic swoich 50 warsztatów i 6.000 klocków, udzielając im również bez żadnego wynagrodzenia potrzebnych tu do roboty przyborów: deseni, nici, szpilek. Szkoda, że zasłużona ta szkoła, która zaszczepiła wśród kobiet warszawskich korzystne rzemiosło koronkarstwa nie dała na wystawę obrazu przyjętego w jej szkole systematu nauki wyrobu koronek. Wprawdzie dziewczynki z jej szkoły pracowały pod oczyma widzów, przedstawiając żywy obraz wykonywania tej roboty; niemniej tablica z próbkami roboty uczennic, grubszymi i cieńszymi, byłaby rzeczą ciekawą i pouczającą.

Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności oraz ochrony warszawskie przedstawiły pewną ilość okazów koronek, dowodzących, że koronkarstwo stało się już u nas przemysłem ludowym, lecz głównie ukazała to ochrona prazka w licznych, dobrze, porządnie odrobionych próbach. Tu, jak to widzą osoby, interessujące się środkami, otwierającymi kobiecie warszawskiego ludu źródła pożądanego zarobku, należy akt wdzięcznego uznania p. Kryże, której staraniem i zajęciem się osobistym jest to, że nauka koronkarstwa rozwinęła się tak szczęśliwie w ochronie prazkiej.

Ze względu na dostępność nauki, jak i zbyt łatwiejszy, ogół wspomnianych okazów był w gatunku, który w Galicji zowią gospodarskiemi, a u nas dają im nazwę od sposobu wyrabiania: klockowych. Przecież wystawa mięściła okazy i wyższych, szlachetniejszych gatunków tego wyrobu w stopniu, który każe już nazywać koronkarstwo kunsztem. Szkoła rzemiosł zacnej pani Ludwicy Strońskiej, z ulicy Ciepłej, wystawiła bardzo piękne próby koronki „à l'aiguille“ weneckiej i kunsztowne gipiury, równie i p. Stanisława Wikszemska z Wilna, której próba koronki „à l'aiguille“ i wiele innych równie kunsztowych: bardzo wytworne otoczenie do chusteczki od nosa, motyl mający służyć w miejsce broszy, są tak piękne, że ściągają do siebie ciągle przypatrujące się im panie. Słyszałam głos, który twierdził, że w ubogim naszym kraju wyroby tak drogie przedmiotów fantazyjnych są mniej pożądane; że jednak osoby zamożne rzeczy takie kupują zagranicą, więc powinny być w kraju, aby zagroziło to drogę oddawania obcym drogiego u nas grosza. Hr. Marya z Tyzenhauzów Przeddziecka zakupiła na wystawie wszystkie aparaty kościelne, wystawione przez zakład hr. Cecylii Plater w cenie kilkuset rs., zamawiając oprócz tego ornatów, oraz innych do służby Bożej potrzebnych przedmiotów, przeszło za rs. 1.000. Przeznacza je dostojna ta pani dla ubogich kościołów i część zasługi za ten dar pocziwy spada na szkołę robót, w której je wykonano, bo umożliwienie dobrych chęci jest też czynem dobrym, jest cnotą obywatelską. Daje się w ten sposób pochop do dobrego, więc daje się natchnienie dobru i według słów poety stwarzać w ten sposób, można „to, czego nie było“.

Hr. Przeddziecka nabyła jeszcze w dziale wystawy innym: wyrobów włóściańskich, okazów przeszło za 300 rs. Jest pomiędzy tem rzecz prze-

(*) *Kłosy* 1880 półr. II. N. 792, (T. XXXI, str. 151).

piękna: chustka na tle białego i pasowego kaszmiru haftowana ręcznie jedwabiami, przez włóściankę ze stron podolskich. Naśladowano tu stary szal perski, z którego sobie pracownica robotnica wzór uczyniła, i wyszła z tego rzecz tak estetycznie piękna, tak szlachetnego smaku i wykonana tak delikatnie, jak gdyby to było dziełem najwprawniejszej hafciarki. Prawdą jest i na wieki wieków prawdą zostanie, że duch techniki, gdzie chce, i dlatego to artyzm i poezja, która się w pięknie kocha, tak się rodzą między ludem, jak dzikie kwiaty, które wiatr sieje po lasach i rozłogach. Za chustkę tę zapłaciła hr. Przeddziecka rs. 180.

Hafty włóścianek podolskich złotem i srebrem wykonane na delikatnej białej tkaninie tak są prześliczne, jak te z przeszłej wystawy, któremi się zachwycano w Warszawie i nie dziw, że z nich królowe suknie sobie robią.

Ale należy wrócić do przedmiotu, od którego nieposlušne pióro odbiegło. Otóż koronki p. Wikszemskiej, choć kosztowne, mają racją bytu z powodu, że i takie się używają, a rozpowszechniona ich nauka może się przyłożyć do zatamowania przywozu koronek francuzkich i belgijskich, zwanych bruxelskimi, a nawet wytworzyć gałąź pracy na zbyt zagraniczny. P. Wikszemską występuje tu jako pojedynczą wystawczyni; wiemy przecież, że w Wilnie stoi na czele szkoły. Na zeszłorocznej wileńskiej wystawie gospodarczo-przemysłowej otrzymała wielki medal srebrny — najwyższy, jakim wystawy tamtejsze rozporządzają.

Ochrona i bezpłatna szkółka robót w Piotrkowie przedstawia się bardzo zajmująco i pociągająco do siebie tym interesem, który się należy wytrwałości: w cichości spełnianej pracy z celem dobra ogólnego. Wyrób koronek w Piotrkowie daje znać o sobie i za pośrednictwem *Tygodnia*; czytelnicy naszego pisma wiedzą o tym pracowitym przemyśle mieszkanki tamtejszych, ale przyznać się muszą do niewiadomości faktu, że nauka koronkarstwa prowadzi się tam od r. 1844. W miesiące letnie uczennice szkółki bezpłatnej uczą się codziennie po dwie godziny koronkarstwa i wyczuły go się starszych i młodszych około stu osób. Nauka szmuklerstwa została tam wprowadzoną, także po dwie godziny dziennie, od Lipca zeszłego roku. W ochronie dla dzieci p. Kobyńska uczy dziewczęta szyć, robót drutowych, robienia rękawic, co jest robotą w klimacie naszym bardzo praktyczną i mogącą zapewnić osobie dobrze wyczonej zbyt na wyroby swoje w kołach ludności średnio-zamożnej i to pracującej w domu, obok zajęć dla rodziny.

Wyrób takich rękawiczek przyjęty jest i w warszawskich ochronach; biały haft na płótnie wystawiony przez Szkołę Towarzystwa Dobroczynności, to także gałąź pracy mogąca zapewnić w przyszłości zarobek, choć trzeba tu troskliwego namysłu: czy szkoły dziewcząt ubogich powinny przyspasabiać w wychowankach swoich robotnice, zdolne pracować z korzyścią na zbyt; czy raczej kobiety gospodynie w rodzinie ludowej? Szwalnie pod zarządem hr. Ronikrowej i p. M. Józefowiczowej, w których przewodniczą Siostry Miłosierdzia, odznaczają się takim praktycznym kierunkiem nauki: cerowanie, naprawianie bielizny, szycie proste, w okazach przedstawionych jest wykonane wybornie, a znaczy to więcej jeszcze, niż samo uzdolnienie kobiety do tej roboty, potrzebnej nieodzownie matce i żonie w rodzinie robotnika, rzemieślnika. Kierunek myśli tak nauczonego dziewczęcia staje się przez to innym, bo myśli te przywykają do trzymania się w zakresie odpowiednim do przysłych zajęć, przeznaczeń życia. Nie wyrabiają się gusta zbyt kosztowne, wyobraźnia nie wybiega niezdrowo w marzeniach swoich. Szlachetny myśliciel francuzki Juliusz Simon zwracał na to uwagę, że w Paryżu najwięcej kobiet wykołajonych, nieszczęśliwie upadłych należy do robotnic, pracujących w zakresie przedmiotów zbytku, zwłaszcza strojnictwa.

Wystawa pokazała nam w kierunku domowej pracy gospodarczej nowość wielce pożyteczną. Wielki przemysł fabryczny już od połowy bieżącego stulecia naciska przemysł domowy, ręczną

pracę kobiety, którą wypycha i zabija. Taniść wyrobów fabrycznych poczęła wywoływać sądy, że nie warto jest zadawać sobie tyle trudu i kłopotliwego zachodu, mogąc nabyć niedrogo wyrób doskonalszy. Przecież ziarno do ziarnka zbierze się miarka; najmniejsze nawet oszczędności na przedmiotach ciągłego użytku, więc ciągłego na nie wydatku, tworzą razem summy, które poczęły w ten sposób wychodzić poza dom, uciekać rodzinom i zmniejszać ich majątek na korzyść przemysłu i handlu, który przecież z tych-to wziętków, większych mniejszych, tak się bogaci ogromnie, tak się wielmoży, tworzy fortuny kolosalne i szalę równowagi ekonomicznej na swoją korzyść przechyla. Ze odebraniem kobiecie dawnej pracy domowej odbiło się i na moralnej stronie życia rodzinnego jest rzeczą niewątpliwą. Każde istnienie ludzkie potrzebuje zajęcia z celem poważnym i szanowanym, aby równowaga uczuć i myśli została utrzymana. W obec nowego zwrotu rzeczy wiele kobiet uczuło pustkę w życiu, gdy im zabrakło pracy, której ważność stanowiła do niej podniętą, łączyła się z pojęciem obowiązku i spełnionego celu życia. Zmiany obyczajowe wśród społeczeństw nowożytnych w znacznej części biorą tu początek i wielki procent kobiet rozbawił się nudów — z braku takiego zajęcia, z którym wiązało je silnie pojęcie pożytku rodziny. Robotki zwane pięknymi dać go mogły tylko wyjątkowo, naturom spokojniejszym, mniej żądającym od życia, mniej pragnącym życiu przynieść od siebie. Uzdolnienia artystyczne są też wyjątkowem tylko obdarowaniem, a życie wszelkie musi uczuwać grunt pod nogami i nie wisieć pomiędzy niebem a ziemią, jak pokutujący duch czarnoksiężnika, czepiającego się nitki pajęczej. Odjęte kobietom w rodzinie pojęcie użyteczności ich prac gospodarczych dla rodziny poczęło też prędko wywierać zemstą swoją, a zmniejszająca się zamożność rodzin wykazała skutki nowego stanu rzeczy. Trudność utrzymania wpłynęła następnie na to, że znalazło się mnóstwo kobiet samotnych i wytworzyła się wśród narodów kwestya nowa, nieznaną przeszłości: kwestya pracy kobiecej. Jest ona dziś jednym ze szczególnie ważnych zagadnień społecznych naszego czasu, nad którym zastanawia się zarówno ekonomista, moralista i filantrop, aż oto — w tym punkcie biorą pod uwagę wyłączenie stosunki nasze — zaczyna się objawiać w łonie społeczeństwa pewien odruch — pewna odporność, na korzyść rodziny działająca.

Wystawa ukazała nam między wyrobami domowego przemysłu wsi takie wyroby kolorowe, które mogą służyć bardzo przyzwoicie paniom nie strojnicom na użytek powszedni ich i dzieci. Są między wyrobami ręcznymi, utkanymi na krosnach, rzeczy prawdziwie ładne, są nawet tkaniny niemal wytworne, jak naprzykład sztuczka materiału wełnianego w kolorze brunatnym, w paski błado niebieskie z domieszką jedwabiu. Wystawione są obok okazy miękkiej, delikatnej jak puch, wełny; w nici, z której ten piękny wyrób utkanym został i koronka z tejże wełny, przeznaczona do ubrania sukni, co razem pod ręką odpowiednio uzdolnioną do krawiecczyni, może dać bardzo ładne ubranie kobiecie nawet klas wyższych.

A wyroby kobiet podolskich, te prześliczne tkaniny z białej wełny? Jeżeli takie rzeczy mogą być owocem taktwa domowego, chyba już nikt nie nazwie surowością spartańską chęci, aby krośna tkackie stały się narzędziem domowej pracy kobiety naszej ze dworu nawet, jak to ma miejsce, bynajmniej nie na antypodach, ale w całych Prusiech. Na przeszłych wystawach występowały już z okazami takimi panny Zarębianki, z prowincyi pruskiego rodem.

Ważność wyrobów pracy domowej, odczuwana instynktownie przez ogół, ujawnia się na wystawie przez szczególne zajęcie się nią publiczności — przez życzliwe dla niej usposobienie wszystkich. Zaczyna się przecież u nas w tym kierunku ruch pożądany; pokazuje to fakt, że myśl takiej domowej pracy nawet dla rodzin miejskich objawiła się na wystawie. P. Paulina Reinschmidt z Warszawy (Marszałkowska N. 94) wystawiła bardzo piękne dywany smyrneńskie, wyroby gobelinowe — wystawiła bardzo elegancką sukienkę dla dziecka z materiału wełnianego w wyrobie

zblizającym się do pewnego gatunku silnych be-reży — wszystko utkane w domu na warsztaciku nowego zupełnie systemu, może lokieć szerokim i mało co dłuższym, naktórym te wszystkie rzeczy pani ta utkała ze zręcznością Arachny — ale nie... lepiej powiedzieć: ze staranną zręcznością kobiety, która pragnie pracować użytecznie i w użytecznej pracy drogi torować. Sukienka wspomniana, jest z wełny pięknego szafirowego koloru, przetykana nicią srebrną, i materyał taki mógłby odziewać strojnie i panny dorosłą.

Przy krosnach takich mogłaby też siaść nie już królowa Nauzikaa, która sama prała bieliznę w strumieniu, ale każda z naszych pań, i jako dobrą nowinę wyniosłam to z wystawy, że nauka takiego pokojowego taktwa udziela się przez p. Reinschmidt uczennicom szkoły rzemiosł p. Aleksandry Korycińskiej, której uczennice przedstawiły próby wyrobów, zajmujących przez tę ważną stronę, że są między nimi zupełnie nowe gałęzie pracy kobiecej. Obok grawerstwa, prezentującego się tam pokaźnie, są interesujące okazy litografii w rysunku na kamieniu, i odbiciu, bardzo porządne. Obok tych prac, nowych w zakresie rzemiosł kobiecych, nie zaniedbaną jest praca domowa, jak to wykazuje obok wspomnianej, przez p. Reinschmidt udzielanej nauki taktwa domowego, nauka ręcznych robót kobiecych, prowadzona przez p. Paulinę Szumlańską, która wystawiła również osobno własne swoje, piękne roboty włóczkowe w ich użytecznym zastosowaniu dla domu, dziecka i kobiety.

(Dalszy ciąg nastąpi).

W WIĘZACH.

PRZEZ

Anatola Krzyżanowskiego.

Na ulicach jednego z naszych miast panowało niezwykle ożywienie. Hotele, pustką świecące zazwyczaj, były przepełnione, od sal restauracyjnych, aż do ostatniego pod strychem pokoiku, służba uwijała się, licząc na sute napiwki; na chodnikach zaś, stanowiących istną giełdę żydowską, napotykałeś co chwila, obok zwykłych chałato-wych postaci, ogorzałe lica o wąsie sumiastym i pańskich, pewnych siebie ruchach.

Liczny zjazd obywatelski, w niezwyklej porze roku, bo w późnej jesieni, musiał być wywołany ważną jakąś przyczyną; ani przecież jarmark wełniany, ani wybory do Towarzystwa, nie usprawiedliwiały go obecnie. Zresztą twarze, zbierającej się w grupy i rozprawiającej półgłosem, szlachty nosiły na sobie wyraz gorączkowego zaciekania i smutku zarazem. Niezwykły-bo też i wstrząsający sprowadził ją tu wypadek. Przed kratkami sądu rozgrywała się głośna sprawa o zabójstwo, a na ławie oskarżonych zasiadł jeden z bogatszych właścicieli ziemskich.

Krwawy dramat w klasie ludzi zamożnych i intelligentnych, oparty, nie na chęci zysku, lecz na psychicznych czysto czynnikach, budzi zwykle żywsze zajęcie. Tu wypadek ten silniej oddziaływał na zebranych, iż zbrodni dopuścił się współobywatel ich, druh i towarzyszy, którego znając od lat dziecięcych cenił przywykli.

Zawezwany w dniu tym do X., jako prawnik i krewny podsądnego, wtajemniczony zostałem bezzwłocznie w przebieg całej sprawy, aż do najmniejszych jej szczegółów.

Młody i bogaty Stanisław Gorycki, niezadowolony z obszernych włości, jakie mu ojciec pozostawił w spuściźnie, postanowił bądźco-bądź ożenić się świetnie. Forsowne gonienie za posagiem, w człowieku, który i tak posiadał dość złota, raziło nieco wszystkich, tembardziej, iż Gorycki z materialistycznych swych poglądów za-

dnej nie robił tajemnicy. Szlachetniejsze uczucia, miłość i wzajemna sympatya, — były to według niego mrzonki, dobre w książkach tylko; rodzina zaś, nie na romansach, lecz na niezbitej podstawie pieniężnej, gruntowaną być winna.

Poglądy te, jawnie i z pewną cyniczną szczerością głoszone, miały to dobrego, iż, nie pozostawiając przyszłej żonie jego żadnych złudzeń, pozwalały gruntownie ocenić człowieka. Zarówno zaś bezprzykładna otwartość, jak dwieście włók pysznego czarnoziemiu musiały działać bardzo dodatnio; nie szukając bowiem daleko, pan Stanisław pozyskał wkrótce rękę jednej z bogatych dziedziczek, której obszerny majątek dał się doskonale połączyć z pobliskim jego kluczem.

Wprawdzie szeptano, iż panna zajęta jest kim innym, że dla widoków materyalnych idzie jedynie za niego; wprawdzie opowiadano dużo o kokieterji jej i gonieniu za złotem, w czem miała zupełnie dorównywać przyszłemu mężowi, ale Gorycki nie zważał na podobne drobnostki. Szukał „partyi“ i partya znalazł; to mu wystarczało. Co zaś myśla o nim ludzie, lub co czuje narzeczona, mniej go już obchodziło. Zresztą, znając swoje wartości materyalne, nie wątpił, iż każda panna dumna być musi z jego wyboru, piękność zaś przyszłej żony, chłód jej, rozum i szyk — pochlebiały mu tylko.

Skojarzonej wśród takich warunków parze ludzie nie rokowali trwałego szczęścia, i w rzeczy samej nowożeńcy nie zaznali go wcale. Majątki połączyły się wprawdzie, stanowiąc wielki klucz w najpyszniejszej położony glebie, serca jednak, dusze, obcemi sobie zostały. Młoda pani, która poto schyliła główkę pod jarzmo hymenu, by większą pozyskać swobodę, tęskniła ciągle do uciech stolicy i świetnych miejsc kąpielowych. Gorycki, zbyt praktyczny, jak mówiono, aby zadowalać kosztowne zachcianki żony, silną dłoń chciał wolę swoją na każdym przeprowadzać kroku. Obok dwóch dużych fortun zjednoczyły się dwa charaktery nieugięte, porywcze, których nie łagodził najłżejszy promień wzajemnego uczucia. Przy ograniczonych warunkach majątkowych bolesne starcia byłyby nieuniknione; wobec dostatków rzadko wprawdzie przychodziło do jawnych utarczek, głucha jednak podjazdowa walka nie ustawała. Czarne oczy pani przybierały najczęściej wobec męża zimny, wyzywający wyraz, na ustach pana sarkastyczny zazwyczaj błdził uśmiech.

Troszkę wyrozumienia i uległości z jej strony, iskra uczucia w jego sercu: a lody te prysnęłyby zapewne, ratując dwa życia, łamiące się dobrowolnie. Gorycki jednak nie mógł zapomnieć, iż żona w pierwszej poślubnej rozmowie bryzgnęła mu w oczy zarzutem, iż jako łowiec na posagi majątek jej pragnął zagarnąć tylko. Pani Izabella nie zdolną była przebaczyć, że mąż obelgę tę zniósł zimno, a nawet potwierdził ją niejako, dowodząc, iż o serce jej nie miał zamiaru ubiegać się wcale, gdyż wie, że oddawszy je już ubogiemu kuzynowi, nie miała dość mocy, by wraz z uczuciem połączyć i rękę. Spekulowała na jego majątek, więc i jemu wolno było uczynić to samo; a teraz pozostaje im obojgu tylko spożywać owoce własnej zapobiegliwości.

Chłód i szyderstwo były bronią rozdzielającą ich nazawsze; a jednak, jakby za zobopólną zgodą, równomiernie ich używali oboje. W sąsiedztwie szeptano pocichu, iż trafiła kosa na kamień, że zdobyte krocie mogą niestrawnym dla młodej pary stać się kęskiem. Państwo Goryccy jednakże zbyt byli dobrze wychowani i taktowni, by wobec osób trzecich okazywać jawnie rzeczywisty stan swych uczuć. Wprawdzie niechęć i oziębłość nie dały się ukryć zupełnie; ale wiadoma rzecz, że staroświeckie czułości wyszły oddawna z mody, a ludzie tak wielkiej fortuny mieli prawo nadawać sobie nieco tonów.

Z biegiem czasu wreszcie przestano się mieszać w domowe ich sprawy, podziwiając tylko hojność w przyjęciach, wytworne urządzenie domu, świetne toalety pani i zimną, coraz bardziej posagową, jej piękność. Zewnętrzne więc warunki ułożyły się jaknajlepiej na tym najlepszym ze światów. Jeżeli zaś, pomimo tych pozorów, w sercu młodej pary wrzała niekiedy burza uczuć,

jeżeli przychodziła chwila tęsknoty za spojrzaniem tkliwym i słowem serdecznym, — zbyt dumni byli oboje, by zdradzić słabość podobną. Wszak mrzonki te śmiesznością zwali, od śmieszności zaś trzeba się umieć chronić przedewszystkiem. Wprawdzie wśród długich, samotnie spędzanych wieczorów jedno wyciągnięcie dłoni, byłoby ich zbliżyło nazawsze; ale kto pierwszy miał się tu upokorzyć? Hartując przeciw słabości własne serce, Gorycki powtarzał sobie, iż żona nazwała go nikczemnym łowcem na posagi; pani znów przypominała sobie z goryczą brutalne zapewnienie męża, że miłości jój wcale nie potrzebuje i starać się o nią zupełnie nie myśli.

Przepaść też dzieląca ich rozszerzała się coraz bardziej, aż, wywzajemniając się mężowi za szukanie poza domem rozrywek, pani Izabella zaprosiła na parę tygodni, wracającego właśnie z zagranicy, tegosamego kuzynka, dla którego, jak utrzymywali ludzie, nie była obojętną niegdyś.

Pan Stanisław mógł wprawdzie niepozwolić jej przyjmować go w swym domu, sądził wszakże, iż zakaz taki, zdradzając pewną drażliwość czy zadróżd, ubliżyłby jego powodze. Kuzynek więc przybył w gościnę, wyszedłszy zaś w dwa tygodnie później z gospodarzem na polowanie, nie powrócił więcej. Znalaziono tylko trupa z roztrzaskaną czaszką, Gorycki zaś uwięziony, natychmiast się do winy przyznał. Zabójstwo to, potworne, niewytłómaczone napozór, ściągnęło tak liczny zjazd obywatelski do X., a zarazem kazało mi porzucić zajęcia w stolicy, by prawną mą wiedzą ratować, oile możności, dawnego kolegę i krewnego, w którego winę nie mogłem uwierzyć, wiedząc, iż, pomimo gonitwy za złotem, był niezdolnym do zbrodni człowieka. Gdy, przyjechawszy, zeszedłem do restauracyi, by posilić się czemkolwiek, zebrani u stolików biesiadnicy prawie o niczem innym nie mówili. *Cause célèbre* poruszała wszystkich. Nieznane mi przedtem szczegóły ożenienia się Stanisława i domowego jego z żoną pożycia rzuciły teraz na całą tę sprawę silne światło. Nie wyprowadzając jednak wniosków doraźnych, pośpieszyłem do więzienia miejskiego, chcąc z własnych ust mego kuzyna poczerpnąć szczegółów i środków do jego obrony.

Skoro, przeprowadzony spojrzem ciekawych, stanąłem wreszcie u wrót ponurego gmachu, z piersi mojej mimowolnie wybiegło westchnienie, a w myśli zrodziła się bezwiednie filozoficzna uwaga nad niestałością rzeczy ziemskich. Mój Boże! wszak kilka lat temu zaledwo ja byłem ubogim chłopcem, walczącym z brakiem, — chłopcem, który zdobywszy po wielu latach pracy mizolnej i źle płatnych korrepetycyi, stopień magistra obojga praw, ze łzami składał go na kolanach matki staruszki; on zaś, bogaty, psuty, uchodził już wtedy za lwa salonów, a wpadłszy do naszej skromnej izdebki, śmiał się z mego zapału. Dziś, jakże się koleje losu zmieniły! Ja, zdobywszy już sobie trochę uznania, stałem na wstępie do brze się zapowiadającej karyery; on — za kratą więzienną, pod ohydny zarzutem zbrodni, czekał na ratunek od tej wiedzy właśnie, z której sztydził niejednokrotnie.

Ciężkie drzwi zgrzytnęły tymczasem; znalazłem się na kurytarzu więziennym. Mała, o nagich wilgotnych ścianach, celka, tapczan z boku, stolik i prosty drewniany zydell: oto jak się przedstawiało miejsce, w którym krewny mój musiał przeżyć najstraszniejsze chwile swego życia. Wsparty o mur i zapatrzony w wysoko umieszczone okienko, nie poruszył się nawet na odgłos zardzewiałych wrzeczadzy, sądząc snadź, że to stróż więzienny przychodzi zabrać obiad stojący na stole, a dotąd nietknięty.

— Stasiu, — zawołałem półgłosem.

Odwrócił się. W pięknych pobludłych jego rysach ani jeden nie drgnął muskuł.

Stał z oczyma ponuro we mnie wlepionemi, z jakimś dzikim, zaciętym w nich wyrazem.

— Stasiu, — powtórzyłem, wyciągając doń rękę, — nie poznajesz mnie?

— I owszem — przyznał, po lekkim wahanii się. Nie pojmuję jednak, iż, wiedząc o wszystkim, dłoń do mnie wyciągasz?

— Ha, bracie, trudno: jestem tylko człowiekiem; w niepokalanych nie wierzę, tak, jak nie wierzę, by kamień z ziemi rzucony doleciał prosto do nieba. Zresztą, wyciągam do ciebie, nie tylko dłoń krewnego, ale dłoń współczucia, bo jestem pewny, że w nieszczęsnej tej sprawie kryje się jakaś niezrozumiała dla mnie zagadka.

Rysy Goryckiego rozpozgodziły się nieco.

— Dziękuję ci — wyszeptał. — Ty pierwszy rzucasz mi słowo wyrozumienia i otuchy. Tamci wszyscy, wszyscy, nawet ona, wierzą, że go zabił rozmyslnie.

Z jękiem głuchym oczy ręką przysłonił. Widząc, iż proste me słowa złamały pancerz dumy i wrzuciły go silnie, postanowiłem skorzystać z tej chwili, by z rozzbrojonego rozrzewnieniem, spowiedź całą wydobyć.

— Słuchaj, Stanisławie, mówilem — dotykając jego ramienia, — powiedz mi jak to było, powiedz wszystko, nie tając żadnego szczegółu. Jestem twym krewnym, a przytem pomyśl: mam cię bronić jutro. Pełna tylko świadomość sprawy da mi możność i siłę do odwrócenia od ciebie straszego losu, jaki spotyka zwykłych zbrodniarzy.

Podniósł oczy niewysłowionym jaśniejszą smutkiem.

— Zapóźno, — wyszeptał. — Zabiłem go, i temu przeczyc nie mogę.

— Tak, ale nie zabiłeś rozmyslnie?

— Rozmyslnie? Ha, czyż nie rozumiesz, że ja bym sto razy dziś śmierć chętnie poniósł, by jemu przywrócić życie, że męki piekielne zniósłbym z rozkoszą, byle zmasać krew tę z rąk moich?

— A więc powiedz: jak to było? — nalegałem.

Po kilku jeszcze słowach zachęty i uspokojeniu się głęboko wstrząsają cego nim wzruszenia więzień rozpoczął smutną opowieść.

— Skreślić ci ostatnie lata mego życia, myślisz, że to łatwo? — mówił ze smutkiem bezdennym. Pamiętasz dzień ostatniego naszego widzenia? Ty, jako już adwokat przysięgły, stawaleś po raz pierwszy przed kratkami i wygrałeś dość zawiłą sprawę. Rozentuzyzasmowany, mówiłeś z zapałem o przyszości, która ci się uśmiechać zdawała; ja, znudzony wiram wielkiego świata, wracałem na wieś, bo poważnie do pracy się zabrać. Odtąd, — dodał z gorzkim uśmiechem, — zapytaj ludzi: powiedzą ci, że byłem bardzo, bardzo szczęśliwy. Majątek mój się podwoił, miałem piękną żonę, zazdrozczono mi przecież ogólnie.

W słowach jego przebiegał się straszny, gryzący sarkazm. Zrozumiałem, iż dotknął rany, która, jątrząc się wiecznie, całe istnienie jego zlamiała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ALEXANDRA DES BLESCHAMPS.

Świeżo, bo już w 1889 roku, wydana w Paryżu, bezimiennie napisana książka: „Le prince Lucien Bonaparte et sa famille“, budząc starą a dziś we Francyi sponiewieraną legendę napoleońską, ukazuje jedną sylwetkę kobiecą, tak wdzięcznie pociągającą, że młody adept historii, Henryk Laujol, choć republikanin, bynajmniej w Napoleonidach nie rozkochany, poszukiwał dziejowych o niej wspomnień i naskwicował bardzo sympatyczny obrazek kobiety. Tą, z cieniu czasów na to dzisiejszej chwili wyprowadzoną, jest Alexandra des Bleschamps, córka starej rodziny normandzkiej, druga żona Lucyana Bonaparte, której i uczuciu, jakie wzbudziła, przypisuje Laujol wielki wpływ, nie tylko na losy, ale i na moralną historję tego jedyne go z braci Napoleona, który się do tryumfalnego wozu Cezara nie zaprzęgił i indywidualność swoją — ludzką swą godność ocalił.

Już-to poeta, romansopisarz, szukający sobie za lat młodzieńczych rzymskich wzorów do naślada-

dowania a potem miłości Julii de Récamier i przyjaciela Chateaubrianda, — który nie mając skończonych lat dwudziestu, ożenił się uczciwie z siostrą swego odźwiernego, nieumiejącą ani czytać, ani pisać i wyuczyszy ją tego wszystkiego, był dla niej dobrym, kochającym mężem, a potem bolał szczerze nad jej śmiercią, musiał mieć w sobie dość tkliwości serca i poezji uczucia, dość natchnień szlachtetnych, aby swoją niepodległość ducha ustrzegł. W epoce tej zmaconych pojęć i rozluźnionych obyczajów, umiał też pojmować wartość kobiety przez jej cnoty, leżące poza pseudo-grecyzmą owych czasów. Gdy mu ta, w młodzieńczym wieku zaślubiona, małżonka umarła, on, grzebiąc jej zwłoki w cienistym parku Plessis-Chamant wśród krzewów różanych, napisał na mogile: — „Kochanka, małżonka, matka bez zarzutu“.

W chwilach niebezpieczeństw lub nieszczęścia przybiegał też zawsze z pomocą, na ratunek tego starszego brata, któremu przecież stawiał się hardo, gdy ten chciał osobą jego rządzić, jak pionkiem na szachownicy ambitnych swych planów — stawiał mu się ostro, gdy się jakiś akt niemoralnej polityki szykował. Kiedy w r. 1802 chciał Napoleon Luizyaną francuską Stanom Zjednoczonym sprzedać — za pieniądze oddać tyle dusz, tyle serc, gorąco bijących dla zamorskiej ich ojczyzny, a których on, w czasie swej ambasydy w Madrycie, tak gorąco bronił, tak energicznie, tak usilnie dla Francji zdobywał, zaszła między nimi straszna scena.

Wiadomiony przez młodszego brata Józefa co się dzieje, z teatru wybiegł, do Tuillerów jednym tchem pośpieszył, do Napoleona, w kąpieli siedzącego, się dostał i tak mu bez ogródki niechęć tego traktatu wytknął, że ten, w uniesieniu namiętnem z wody wyskoczył, grożąc mu, jak Neron, śmiercią na miejscu. Podobno nawet rękę, chcącą uderzyć, już podniósł, już zamierzył się, ale wzrok Lucyana gwałtownika powstrzymał.

Strzaskał tylko o wannę tabakierkę z portretem Józefiny, malowanym przez Isabey'a.

W tej-to chwili Lucyana postanowił wycofać się z wolna z poza kręgu władzy brata. Senator, kanclerz Legii Honorowej, ex-minister, ex-ambasador zabrał się do pióra. Pisał romans: „La tribu indienne, ou Edouard et Stellina“; w pałacu swoim du Plessis-Chamant urządził teatr, na którym grywano jego tragedye, lecz pierwszy konsul nie mógł znieść tej niezawisłości, zwłaszcza, że osoba Lucyana nadawała się do pewnej kombinacji, którą układał. Umarł młody Król Etrury; potrzeba było wydać wdowę za mąż według planów polityki francuskiej i Napoleon chciał ją dać Lucyanowi, lecz ten odmówił. Zrazu uczynił to żartobliwie, mówiąc, że rajona mu pani jest brzydka, potem poważnie, podając jako argument, że nie mógłby już pokochać. Bracia byli sami tylko z trzecim Józefem, za świadka, Napoleon; rzucił jakiś cynizm gruby i dał mu trzy dni czasu do namysłu, ale rzecz nie mogła się zmienić, ponieważ Lucyana miał już żonę.

Ze względu na rodzinną tyranią Napoleona, małżeństwo było trzymane w tajemnicy. Zaślubił Alexandrę des Bleschamps, dwudziestodwuletnią wdowę po vice-hrabi Jouberton de Vauberty, szlachcicu z pod Nantes — kobietę, która była nie tylko bardzo piękną. Historyk jej, Laujol, nazywa ją: „ta, która umiała uszlachetnić i oczyścić życie Lucyana Bonapartego“, co się już stało poniekąd przez ten sam fakt, że miłość dla niej kazała mu przeciwstawić godność swą osobistą wszystko łamiącemu despotyzmowi brata. Nie była bogata i nie jaśniała też w wielkim świecie ówczesnego Paryża. Mąż jej pierwszy, syn rodziny zubożonej przez rewolucyę, szukał majątku na San-Domingo i umarł tam z żółtej febry, zostawiając żonę niemal całkiem ubogą. Posiadała przecież rzadką piękność i wielki wdzięk, zawierający się w wyrazie słodyczy i spokoju. Laujol, który oglądał jej portret, pisze, że cud miłości, przez który ta kobieta zmieniła kierunek życia Lucyana, daje się łatwo pojąć. Portret przedstawił mu tak doskonałą harmonię połączonej z dobrocią piękności, że pisze: „C'est une figure de Cérés bienfaitrice, à la fois très calme et très puissante“.

Lucyan, pokochawszy, ożenił się w tajemnicy, ożenił się pochrześcijańsku, jak tego żądała ona; ślub dawał proboszcz parafii de Plessis-Chamant, o czym nie wiedziała nic policya Fouchégo, jakkolwiek nie było tajemnicą dla nikogo w sferze stosunków Lucyana, że się kocha gorąco, że po długim czasie poświęca pięknej vice-hrabinie de Jouberton, przesiadując w jej małym domku na Placu Ciała Prawodawczego, lub zapraszając ją do Plessis-Chamant, na przyjęcia, wśród których była pierwszą osobą. Szeptano sobie na ucho rozmaite rzeczy o parze rozkochanej w sobie wzajemnie, aż proponowane małżeństwo, które przynosiło Lucyanowi na prezent ślubny koronę królewską, zmieniło ten stan rzeczy. Napoleon nazwał zuchwale drogą Lucyanowi kobietę: „la Jouberton“ i Lucyana napisał zaraz nazajutrz do niego list, w którym nazwał kochaną kobietę żoną. List doszedł Napoleona przez Duroc'a, któremu Lucyana wręczył go nad wieczorem. Teraz „la Jouberton“ znajdowała się już w pałacu Plessis-Chamant, jako Lucyanova Bonaparte. Tajemnica nie była potrzebną, i usunięto ją też natychmiast; wieczorem podejmowano gronko bliższych przyjaciół, około północy pożegnano ich i spokojnie położono się spać, gdy o trzeciej godzinie nad ranem przybył niespodziewanie gość, dla którego trzeba było zbudzić gospodarza.

Był to Murat. Przybywał od Napoleona, w wielkim mundurze; Lucyana wyszedł do niego w szlafroku, z fularem zawiązanym na głowie, i przyjął go w swoim gabinecie obok sypialnego pokoju, jak zwaima.

— Co chcesz? — zapytał i usłyszał odpowiedź, że przybywa z Malmaison. Było tam przyjęcie, koncert na harfie i rogu, a że Napoleon nie zbyt mocno muzykę lubił, Duroc, korzystając z chwili, list mu doręczył i stała się nagle awantura: wybuchła mina. Pierwszy konsul krzyknął, aby przestano grać, zrobiło się zamieszanie, Napoleon wyleciał do swego gabinetu, napisał do brata kilka listów, które darł jeden po drugim, aż nakoniec, niepytając się nic, która jest godzina, — wyprawił Murata, jako ustnego posła z odpowiedzią, że on, pierwszy konsul, nie uznaje małżeństwa.

Lucyan postanowił załatwić rzecz na tensam sposób; Murat otrzymał tylko odpowiedź ustną, że małżeństwo jest i pozostaje mimo to ważnem. Biedny poseł kręcił się trwożnie, prosił o odpowiedź listowną, męczył o nią Lucyana dwie godziny, ale darmo. Odjechał z tem, aby natychmiast stawić się przed Napoleona ze słownem zdaniem sprawy. Lucyana zaś — jak pisze w pamiętnikach — położyl się zaraz spać, ale już nie usnął. Do rana rozmawiał z żoną, zawsze jednak w jednym sensie, że wola pierwszego konsula mieszać się tu nie może.

Nazajutrz przybył drugi poseł: Cambacérès. Lucyana nie chciał przyjąć żadnej dysputy, żadnej rozprawy, nie dopuszczał nawet przybyłego do słowa: — „Pozwól, obywatelu senatorze“... — „Daruj obywatelu, drugi konsulu“... aż w końcu Lucyana znudził się i zniecierpliwil. Pożegnał ambasadora, który jednak nie chciał wyjść i dopiero, gdy Lucyana wziął za kłamkę drzwi bocznych, biedny drugi konsul, ruszył z miejsca. Wieczorem Lucyana był z żoną w teatrze Komedyi Francuskiej.

Początek był — można powiedzieć — w wielkim stylu i cały Paryż wziął stronę małżonków. Kiedy następnej Niedzieli Lucyana zawiózł żonę do Près Saint-Gervais na wiśnie, publiczność wyprawiła im owacy. Policya zdała o tem raport i Napoleon uczuł gniew dwójony; zwłaszcza, że jakaś poczciwa kumoszka miała zawołać na głos, iż nie wierzy, aby jakkolwiek mąż chciał opuścić taką żonę! Inne odpowiedziały jej chórem: — „Pas si dupe“... i ludowa ta scena, przepełniła Napoleona namiętnym gniewem, zwłaszcza, że w teatrach, na spacerach, wszystkie lornety Paryża zwracały się na piękną jego bratową, a Lucyana doświadczał skrytego tryumfu i zuchwale — jak się wyrażano w Malmaison — paradował z nią, gdzie się dało. Była to gra niebezpieczna i zaczęły się ukazywać groźne symptomata. Młoda pani zaczęła się lekkać, nie śmiała wychodzić sama, a wierna jej kamerystka, Nanette Royer, przejmowała, ile się dało, zuchwale listy bezimiennie, które bryzgały błotem na biedną. Najlepsi przyjaciele zaczęli

się rzadziej ukazywać, znajomi zupełnie się usuwali, pełen ruchu i wesołości pałac Plessis-Chamant stał się cichym jak pustelnia; przecież nie uciekła ztąd miłość i ufność wzajemna, więc najpierwsze żywioły szczęścia pozostały i zdawałoby się, że dość jest tego do szczęścia. Lucyana czytywał znie swoje wiersze, dawał jej lekcye historyi i literatury; przecież przerywały je niejednokrotnie łzy biednej kobiety i jakkolwiek Lucyana napisał w swoich *Pamiętnikach*, że jego Olesia należała do małej liczby kobiet, których łzy nie speca, jednakże życie zaczęło stawać się ciężkiem. Bracia spotkali się ze sobą dwa razy, ale spotkania te zaogniły jeszcze stosunki. Z gniewu przechodzono do nienawiści. Napoleon, błagany przez matkę, aby przebaczył, przypuścił Lucyana do siebie, — odpowiedział posępnie:

— „Voulez-vous, Madame, une tragédie entre vos fils?“ Zaczął przytem miewać wizye ponure: widywał się we śnie mordowanym przez brata, gdy drugostronnie Letycya i Józef drżeli o Lucyana. Proces i śmierć generałów: Moreau i Pichégru pokazały, jak Napoleon może być zaciętym i usuwać z drogi swojej opozycyę; Korsykanin zaczął się ukazywać zpod Francuza i gdy Lucyana dowiedział się o exekucyi księcia d'Enghien, wszedł do pokoju żony wieczorem błądy i powiedział jej, że trzeba im wyjeżdżać z Francji.

— Il a goûté du sang — rzekł.

Kobieta, zbladła jak śmierć, ale nagle cisnęła się mężowi do kolan.

— Rzuć mnie... odstąp mnie — błagała, ale on zawołał smutnie:

— Więc to tak mnie szanujesz!... tak dbasz o moje imię dobre!... Chcesz, abym dla spokoju życia, spodił się...

Wtedy ona oprzytomniała i podniosło się w niej serce.

— Masz słusność — rzekła — niema szczęścia bez godności i teraz ja przy tem stoję, abyśmy raczej znieśli wszystko, niż rozdzielili się.

We dwa tygodnie potem opuścili Paryż, Francją. Wyjeżdżali w Wielką Sobotę w nocy.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, d. 1 Czerwca 1889 r.

Wystawa.—Paktol gazeciarski. — Zaparcie się rzeczywistej genezy. — Otwarcie. — Obchód w Wersalu. — Obchód na Marsowym Polu. — Fyzyognomia samego Paryża. — Jak wygląda dziś jeszcze wystawa. — Dodatki do niej — Cody Buffalo-Bill. — Walka byków. — Exotyczne okazy ludzi i rzeczy. — Święto, czy bitwa kwiatów. — Kwestya wydatków i kwestya zabawy. — Jaśniejsze fontanny. — Cygańskie muzyki. — Karłowate ogrody japońskie. — Bajeczne ceny kwiatów rzadkich. — Wystawa doroczna Sztuk pięknych na Polach Elizejskich. — Polscy artyści. — Panna Bilińska i inni. — P. Jasiński, rytmownik. — Artyści francuzcy tej wystawy. — Jubileusz „Journal des débats“. — Obraz p. Bérauda i księga jubileuszowa. — Śmierć hr. Alfreda Potockiego, i nabożeństwo za duszę zmarłego.

Nastaly szczęśliwe czasy! Gazeciarze całego świata nie mają potrzeby szukać wiatru w polu — gryźć pióra, wyglądać natchnienia, lub niespodzianej katastrofy. Korrespondencya paryżka idzie jak z płatka, a jeśli co nam zawadza, to chyba, jak powiadają Francuzi, „zbytek bogactwa“ *embaras des richesses*... Czogo tu szukać jeszcze? kiedy ani myśleć, ani mówić, ani pisać nie można o niczem innym, jeno o wystawie, a raczej o wystawach — bo oprócz wielkiej, olbrzymiej, która zalegała całe dzielnice Pola Marsowego, Placu Inwalidów i Trocadero, wszędzie tu pełno jest wystaw prywatnych i publicznych. Wystawa pochłonięła wszystko; dosyć jest powiedzieć, że pochłonięła politykę nawet! A kto wie, jaką tu rolę odegra polityka, w życiu wszystkich i każdego z osobna, ten przyzna, że wystawa musi być wielką i potężną, kiedy potrafiła zmusić tamtę do milczenia. Idźmy więc za prądem i opowiadajmy

dzieje tego przedsięwzięcia, które według Francuzów ma być nowym cudem świata.

Wiecie dobrze, chociaż dziś o tem już się tu nie mówi, jak o wielu innych rzeczach—naprzykład, o generale i jego sprawkach—wiecie dobrze, że ta wystawa miała być szczególnie gloryfikacją stuletniej rocznicy Zgromadzenia Stanów Generalnych w Wersalu, z kąd wyszła rewolucya. Taką była myśl przewodnia i taką została dodziśnia; ale wskutek głębokiej niwy polityki, aby nie przestraszać Europy—powiedziano sobie—jak pisał ongi Lud. Osński: „cichym a powszechnym sądem“ nie mówić o tem i nie przyznawać się do tego.

A więc, nie mówi się o tem, od czego przecież musiało się koniecznie zacząć; w stuletnią zatem rocznicę 1789 r. 5 Maja—program opiewał—wystawa otwarta zostanie, chociaż dopiero na wpół wykończona, tak w samych gmachach, przeznaczonych na ten cel, jak i w urządzeniu zewnętrznym—i stosownie też do programu wystawa otwartą została i to w następnym porządku: d. 5 Maja w Wersalu solenny urządzony obchód rocznicy zgromadzenia się tam Stanów Generalnych a d. 6-go otwarcie wystawy z całym blaskiem i rozdaniem wszelkich stopni krzyża Legii Honorowej dyrektorom i budowniczym wystawowym.

Każdy węglarz jest panem u siebie; nie trzeba się temu dziwić, albo sarkać na to. Co kraj, to obyczaj; oni to uważają za rzecz niezbędną, a na wszelkie zarzuty odpowiadają: „Jakże chcesz, panie, żeby ci dygnitarze wszelkiego stopnia, czekali aż do skończenia wystawy i do rozdania ogólnego nagród? Ależ mogliby poumierać przedtem!“

Stało się więc, jak było postanowionem, i wszystko—dzięki sprzyjającej pogodzie, odbyło się spokojnie, nadspodziewanie spokojnie, wszystko od A do Z.

Ruszając się, mimo podagrę, co mi wzięła jak na złość, w nogi; intrygując, ile sił stało—znalazłem przecież miejsce w urzędowym pociągu z Paryża do Wersalu i byłem też naocznym świadkiem tego obchodu, którego szczegóły dawno już wam podały tutejsze i wasze dzienniki. Nie będę więc opisywał tego, co już dziś jest przeszłością minioną; ażeby streścić te wrażenia, wydzieram kartkę z podróźnej swej książeczki, w której zapisałem to, co mi dowcipnie skreślił margrabia de L., nasz wielki przyjaciel a pełen serca i rozumu senator.

— Jak pan mogłeś zauważyć—mówił margrabia—niczego nie brakło w obchodzie stuletniej rocznicy pierwszego zgromadzenia się Stanów Generalnych. Mielśmy i niezliczone zbiegowisko ludzi i dostateczną liczbę osób urzędowych; mieliśmy słońce i trochę deszczu,—częste wiwaty i rzadkie protestacje krzyczącej zgrai. Mielśmy nawet zamach, który, na szczęście, był tylko wyskokiem głupstwa—słowem: wszystko się odbyło według programu dobrze obmyślanego, a wynalazek wystrzału próżnym ładunkiem w psychologicznej chwili—jak mówił ks. Bismarck—jest arcydziełem sprytu i taktu politycy“.

Ale wszelki żart i dowcip na stronę. Obchód odbył się porządnie a nawet świetnie. Ludziska z Paryża i z okolicy podążyli, jak kto mógł, większa część pieszo, i można było przedstawić w zluźnieniu, czem było owo zgromadzenie sto lat temu—w tysamym Wersalu.

Wypowiedziano mowy, uściskano się serdecznie, wypito za zdrowie prezydenta Carnota i za dusze zmarłych z owego-to 1789 r., i bez szwanku, jak kto mógł, wrócono do domu, marząc o niebieskich migdałach.

Z owego zamachu zostały tylko powinszowania urzędowe; bo oto właśnie sąd politycy poprawczej, uważając sprawę owego Perrin'a jako dziwną i mętną, skazał go tylko na cztery miesiące więzy! Wszystko więc się układa do spokoju i do przyjemnego używania czasu, gdyby w Izbie Deputowanych nie stał zawsze na ogniu gotowy garnek, w którym się gotują przyszłe losy—jeżeli nie kraju, to Rzeczypospolitej. Właśnie parę dni temu dano nowe przedstawienie tej nieskończonej szermierki, w której języki nie próżnują ani na chwilę.

Ale wracam na wystawę, której otwarcie odbyło się—jak mówiłem—nazajutrz po obchodzie wersalskim—co do słowa według programu. Nie

brakło tu ani zbiegowiska ludzi, ani manifestacyi urzędowej, ani nieuniknionej powodzi przemowień urzędowych. Chociaż publiczność była jedynie za biletami, natłok był tak wielki—a niesforność tak roz hulana, że większa część gazonów, klombów, ubranych w kwiaty i krzewy, z ziemią została zrównana. Czego szukał ten tłum uprzywilejowany? Nie blasku i przepychu świetnych okazów przemysłu lub sztuki—bo nie jeszcze nie było na miejscu. Chciał tylko przypatrzeć się zblizka temu, co tak często ma widzieć sposobność: przedstawienie świata urzędowego przy odgłosie muzyki i wystrzałach z armat! Miał się więc czem ucieszyć; orkiestry były liczne i każda na swoją rękę odegrała wcale inną muzykę. Strzały z armat rzesnym ozwały się hukiem, nawet z wieży Eiffela jakieś ochryple wiwatówki próbowały dać się usłyszeć publiczności.

Po skończeniu przemowień, po czterokrotnem *vive* na cześć prezydenta—p. Carnot schodzi z podwyższenia i udaje się na zwiedzenie wystawy; tu—jeśli braknie towarów i fobrykantów, ciekawa publiczność zapełnia wszystkie kąty—tem miłsza dla oka, że to są przeważnie sami Paryżanie. Od czasu do czasu wśród tego swojskiego tłumu wypływa na wierzch dziwna i błyszcząca grupa exotycznych przedstawicieli tego, tak zwanego zaczarowanego wschodu—o którym obszerniej powiemy na swoim miejscu.

Aby to streścić w kilku słowach: sto wystrzałów armatnich, około miliona ludzi rozsypanych, tak około Pola Marsowego jak i na samem polu w około wystawy, nieustanne okrzyki i wiwaty, radość gawiedzi snującej się jakby w obłędzie jakim, zupełne zapomnienie o polityce, nadzieja czegoś, o czem nikt nie wie: oto otwarcie wystawy.

Ten obchód urzędowy, który się rozpoczął rzeczywiście o godzinie 2-iej z południa, nie trwał dłużej nad pół godziny. Reszta, to jest spacer prezydenta i jego orszaku, ciągnęła się do godziny 5-iej poczem p. Carnot wraca do Elizejskiego Pałacu bez żadnych nowych już demonstracyi.

Jeżeli zwrócimy się teraz do samego miasta, uderzy nas sprzeczność pewnego rodzaju powszechnej apaty z tykoko opisaną ruchliwością naokoło wystawy.

Zwykle zrana dni przeznaczonych na obchody świąteczne wielkie panuje ożywienie w najbardziej od środka oddalonych dzielnicach Paryża. Wszystkie ulice i zaułki przedstawiają zajmujący widok. Od pierwszego dnia brzasku wszędzie wnoszą się maszty, powiewają chorągwie, wywieszają różnobarwne zasłony. Wszędzie przemysłni Paryżanie urządzają naprędce stoły i kramy przekupniów i winiarzy; niema prawie domu, niema okna, któreby nie miało swojej chorągiewki.

Nic podobnego nie widzieliśmy d. 6 Maja. Zapłał, który słabnął z każdym nowym obchodem 14 Lipca, w tym dniu spadł już chyba do swego minimum. Cały ruch, wrzawa, zamieszanie i parada były około wystawy; reszta Paryża pozostała spokojną, jakgdyby to otwarcie wystawy nie obchodziło jej wcale.

Taki jest ogólny zarys urzędowego otwarcia Wystawy Paryżkiej. Zresztą, dokąd jeszcze nie jest ona w całej swej pełni i w całym rozwoju. Są części ukończone zupełne, są nawpół skończone, a są nawet zaczęte za ledwie. Wobec tego stanu rzeczy, zdaje mi się, że mogę się wstrzymać z moim opisem tej wystawy. Poprzestanę dziś na tem, co się powiedziało wyżej. W ostatnim liście zdałem wam sprawę z wrażenia, jakie wywiera widok zewnętrzny. Dziś mówiłem o otwarciu; następnie powiem o tem, co będzie najwybitniejsze na tych wyścigach przemysłu i sztuki.

Teraz należy tu powiedzieć słówko o tem, co jest niezbędnym dodatkiem wszelkiej wystawy, a szczególnie takiej wystawy, jak obecna w Paryżu. Chociaż tu oni okrzyknęli sławną swą wieżę Eiffela za największy cud świata, powiedzmy jednak prawdę, że nikt, i oni sami temu nie wierzą, i że wszelkie opowiadania o restauracyi założonej na pierwszym piętrze wieży, o drukarni „Figara“ umieszczonej na drugim piętrze, o tysiącach ludzi śpieszących drapać się na wschody tej wieży—należy brać do wiadomości bardzo oglę-

dnie i wierzyć temu w części tylko. Nie braknie tu przecież innych wabików; człowiek może łatwo ulżyć ciężaru swej kieszeni i prawdziwie: co figiel, to grosz.

Oprócz więc zwyczajnych cyrków i hippodromów, sprowadzono składaną trupę Czerwonoskórych z Ameryki pod dyrekcją tak zwanego *Cody Buffalo-Bill* i panę, co strzela jaskółki w locie z pistoletu, w całym pędzie konia, na którym nie siedzi, ale stoi na siodle i nigdy nie chybia celu.

Kończą w tej chwili budowę nowego amfiteatru, przeznaczanego do walki byków. Pierwszy to raz w Paryżu ukazują się publiczności te igrzyska, zapożyczone z Hiszpanii—a tak wstrętne dotąd wyobrażeniom i upodobaniom tutejszych ludzi.

A dalej, na samej wystawie, w dzielnicy przeznaczanej już dla samych krańców Wschodu—ciekawo zaspokoi swą żądzę, zwiedzając pałace: kochinchiński, kambodżyjski, anamitański, meksykański, brazylijski, afganistański i t. d., przechodząc przez osady Anamitów, Kanaków z Australii, mieszkańców Tonkinu i t. d. Tam będą tańczyć i śpiewać bajaderki indyjskie i wszelkich narodów—za małą opłatą i ku wielkiemu w końcu znudzeniu, tak wszystko to jest dalekie od tego, co my uważamy za taniec i przyjmujemy za muzykę.

W tej chwili właśnie kiedy to piszę, Paryżanie wracają z ulubionej zabawy z tak zwanej „Bitwy kwiatów“. Odbywa się to zwykle w Lasku Bulońskim i jest naśladowaniem tego, co się dzieje rokrocznie w czasie karnawału w Nicei i w innych miastach włoskich. Obrzucanie się wzajemne kwiatami tam, gdzie kwiaty są tak wspaniałe, tak świeże, tak wonne—wobec tej czarodziejskiej natury południowej, na malowniczych wybrzeżach Morza Śródziemnego—ma swój wdzięk, którego naśladować nikt chyba nie zdoła jest, bo na to potrzeba tak nadzwyczajnej, tak cudownej dekoracyi, jaką jest położenie Nicei. W Paryżu, wśród defilady brudnych, paskudnych fiaków, wśród pyłu i kurzu, wzbitego tą defiladą powozów i koni, z zasobem powiedłych kwiatów—może to wystarczyć samym tylko Paryżanom, którzy, gdy sobie powiedzą, że to jest wspaniałe i piękne, nikt temu zaprzeczyć się nie ośmieli. Ale jest to zawsze sposób zabicia czasu, pogapienia się, zmęczenia—i potem w końcu nawymyślania, ile wlezie, przedsięwzięciom i organizatorom zabawy, której ostatecznym celem jest zebranie grosza przeznaczanego na jakieś dzieło dobroczynności—a więc: *E sempre bone*.

Tutaj należy powiedzieć może słówko w odpowiedzi na uwagi mego szanownego kolegi *Quisa*, który w N 21 *Bluszczu* w swej, tak zawsze zajmującej, Pogawędce rzuca słów kilka co do kosztów, jakich będzie wymagała od naszych bocianów wycieczka na ten turniej wszechświatowy przemysłu i sztuki. Będzie to kosztowało drogo, prócz samych kosztów podróży, drogo—i o tem na chwilę wątpić nie można. *In gratiam* wystawy podrząło wszystko. Restauratorowie kuchenni, nietylko że już swoje ceny podnieśli do dyapazonu *ut* „de poitrine“, jak powiedział Dumas, nietylko zażądali zamknięcia wystawy trzy razy na tydzień, aby w ten sposób gwałtem zapędzić do swych garnkuchni cudzoziemców, obdzieranych przez ich kolegów z wystawy; ale przyśladali także wybryki w rachunkach, że wkrótce trzeba będzie płacić nawet za to, czego człowiek nie jada!

Paryż zawsze jest miastem, gdzie życie drogo kosztuje; a w czasie wystawy—ma się rozumieć—wszystkie te ceny podniesione są do swej ostatniej potęgi. Dotąd przeważa tu jeszcze żywiol swojski z Paryża i z prowincyi; cudzoziemców jest bardzo mało—bo w tej majowej przyjeździe każdy u siebie ma zabawy i w sposób przyjemny możność wydania pieniędzy; ale za miesiąc, za dwa, stanie się tu inwazyja, a z nią, żaluję tych... co z Warszawy przyjadą tu szukać przyjemności. Znajdą zabawę, bez zaprzeczenia, ale też znajdą... nie mówmy lepiej: co znajdą?

A nie brak tu wcale przynęty i sposobów do wyludzenia grosza. Wystawa, jako popis przemysłu ludzkiego, podobna do każdej innej. Widzieliśmy to już prawie wszystko, i tu, i gdzieindziej; Francuzi jednak są ludźmi przemyślnymi: obok rzeczy poważnych, umieją stworzyć cały światek rzeczy,

choć płochych i blahych, ale zabawnych, ale ciekawych, ale zahaczających o uwagę—i kieszei.

Oprócz tej kolosalnej nieużyteczności, znanej już pod nazwiskiem; „Wieży Eiffela“—jest tu na każdym kroku tysiące mniejszych atrakcji, jak na przykład: jaśniejące fontanny, *les fontaines lumineuses*, cygańskie muzyki, garnkuchnie wołoskie; mikroskopijne, a raczej karłowate ogrody japońskie—cały park, lub ogród na jednym okrągłym stoliku! Jest wystawa ogrodnicza, gdzie wśród najwspanialszych kwiatów pokazują takiej rzadkości, takiej piękności orchidee, iż jedna ich sadzonka kosztuje 25.000 franków — słyszeliście dobrze?—dwadzieścia pięć tysięcy franków! Jest to wskrzeszenie tej epoki tulipanów w Hollandyi, gdy za jedną cybulkę płacono pięćdziesiąt i sto tysięcy franków. Są ludzie, którzy się lubią ruinować na takie cybulki tulipanowe.

(Dokończenie nastąpi).

Państwo Negusa Negesti.

W ostatnich czasach kraj ten z powodu wypadków politycznych zaprzął od czasu do czasu ogólną uwagę świata cywilizowanego i z tego też powodu pragniemy mu tu kilka słów poświęcić. Przedewszystkiem, naturalnie, trochę geografii...

Abissynia czyli inaczej „Habesz“ ta wielka przestrzeń ziemi położona we wschodniej Afryce, wznosząca się stopniowo od Morza Czerwonego, przetrnięta jest we wszystkich kierunkach łańcuchami gór, pochodzenia wulkanicznego, dosięgających w niektórych miejscach 14.000 stóp wysokości. Góry te tworzą najfantastyczniejsze kształty. Mieszkańcy tamtejsi utrzymują, że „Bóg zapomniał szóstego dnia, tworząc świat, wydobyć kraj ten z panującego chaosu“. „Abi przyjrzyć się najdziwniejszym kształtom gór—powiada znany podróżnik Rohlfis—trzeba pojechać do Abissynii.“ Przedstawiają się one raz jako kolosalny dom o płaskim dachu wykuty z bazaltu, w innym miejscu jak turban, jeszcze w innym jako kapelusz, wieża, kula ze spłaszczonymi ścianami i t. p. Między niemi siedzą wsie i klasztory, a gęsto także gnieźdzą się w nich rozbójnicy i powstańcy, do których przystęp, z powodu stromych gór, jest niezmiernie utrudnionym, a miejscami, poprostu, dla regularnego wojska niemożliwym.

Ludność Abissynii wyznaje przeważnie wiarę chrześcijańską, ale są wśród niej mahometanie, a jest i znaczna liczba żydów.

Od najdawniejszych czasów kraj ten odpierać był zmuszony bezustannie najazdy sąsiadów — Beduiów. Anglia, która również i tam chciała rozszerzyć swą kolonialną władzę, zaniechała tego jednak, skutkiem zdania lorda Napiera, utrzymującego, że kraj ten nie przedstawia dla Wielkiej Brytanii żadnych korzyści, dalszych wycieczek wojennych. Skutkiem tego sąsiedni pretendenci mogli swobodnie Abissynią najeżdżać, i udawało im się od czasu do czasu odrywać mniejsze lub większe części od całości państwowej.

Między innymi udało się tuziemcowi tamtejszemu, nazwiskiem Kassai, który od dawniejszego czasu prowadził wojnę gerylasowską, wspierany amunicją i pieniędzmi przez Anglików, uzyskać władzę naczelną i przez mądre i śmiałe postępowanie zostać Negusem Negesti, królem królów. Sprowadziwszy z Egiptu kapłana z sekty koptów, ukoronowany został w świętym mieście Axum pod nazwą Johanna II. Od owego czasu datuje się panowanie Negusa Jana, który czynił coraz nowe zabory w Szoa, Enerya, Kafa i Gora. — Jak wiadomo, w roku ubiegłym w miesiącu Marcu, uległ on ranom otrzymanym w walce przeciwko Mahdistom.

Wśród tych wypadków Szwajcar Werner Munzinger, namiestnik egipski zachodniego Suda-

nu, oderwał dla swego pana, Kediwa, dwie abissyńskie prowincje Bogos i Halhal, miało to miejsce w początkach siódmego dziesiątka bieżącego stulecia. Na tem jednakże Munzinger się nie ograniczył; zapragnął więcej, mianowicie: chciał zapanować nad całą Abissynią, co Kedywowi Ismailowi wielce przypadło do gustu. Fortuna jednakże kołem się toczy.

Właściwie Munzinger pragnął dla siebie zagarnąć tron abissyński, nie powierzono jednakże wyprawy w roku 1875 jemu, lecz siostrzeńcowi wszechpotężnego ministra Nubara paszy iszwekiemu pułkownikowi Arendrup. Negus Johannes wyszedł naprzeciwko, aż do granicy w 50.000 wojska i w dolinie Gudda-Guddi przyszło do walki. Całe wojsko egipskie, z wyjątkiem jednego batalionu, który pozostał w górze, poniosło straszną klęskę.

Druga armia, złożona z 20.000 pod dowództwem księcia Hassana, ulubieńca Kediwa, który wykształcenie wojenne odebrał w Berlinie, została w wozach Gory tak strasznie pobita, że tylko księciu udało się uciec z życiem. Cała kassa, w której znajdowało się 20.000 funtów sterlingów i 30.000 talarów dostała się w ręce Negusa. Trzecia wyprawa, pod dowództwem Munzingera, doznała strasznej porażki w okolicach Aussa.

Natenczas rozpoczęto kroki pokojowe. Naturalnie, o rychłym skończeniu układów marzyć nie można było.—Negus żądał zwrotu zabranych Bogos, Mensa, Metamneh, Szangalla, portów w Sula i Amnila, położonych nad Morzem Czerwonym, kosztów wojennych.

Gdy Abissynia obstawała za zwrotem zabranych jej prowincji, co łatwo zrozumieć można, tymczasem Egipt nie był w możności zadosyć uczynić tym żądaniom, skutkiem czego władca Abissynii z Mahdistami i Derwiszami zaczął traktować. Posiadanie jednakże portów jest dla tego kraju kwestją żywotną, jedynie bowiem w ten sposób można utrzymać komunikację wygodną i stosunki z innymi krajami i Europą. Do owładnięcia portami nastąpiła się dogodna sposobność, gdy Mahdi ze swym tak nazwanym świętym hufcem wypędził Egipcyan z Sudanu. Lecz Negus Johannes był zawziętym nieprzyjacielem islamu; on to wszystkich zamieszkujących w jego kraju mahometan kazał ochrzcić przemocą.

Pomimo to nie tracił z oka celu ostatecznego swej wyprawy, t. j. odebrania zrabowanych prowincji i odzyskania przynajmniej części brzegu morskiego. Od roku 1880 obozował najlepszy jego dowódca Ras Alula z załogą, która w krótkim czasie dosięgła 50.000 ludzi około Tsatsega i peryodycznie pobierał daninę z Bogos i Mensa; mianowicie podobnie, jak Egipcyanie płaadowali te kraje. „Jeżeli Egipt nie zwróci nam zabranego kraju — zwykł mawiać — zburzymy Chartum i Massauę.“

Że Massaua zajęta i zmieniona została w miejscowość oszańcowaną przez Włochów, na to Abissyńczycy uwagi nie zwracali. Zachowują się względem Włochów najzupełniej obojętnie i w ten sposób wytlómaczyli się za przemarsz Ras Aluli w roku 1887, skutkiem którego starto w proch oddział wojska włoskiego i dalszy marsz zagrażający samej Massaua.

Zwycięstwo to nad Włochami wytlómaczyć sobie tylko można znajomością kraju Abissyńców i trudnych w nim ruchów dla wojska regularnego. Gdyby nie owe okoliczności armia abissyńska byłaby o wiele mniej niebezpieczną. Przyczna jednakże należy, że Abissyńczykom nie zbywa na odwadze, co zresztą w wielu potyczkach i bitwach dowiedli. Gdy tuziemca ściśnie bieda, rzuca się, narażając życie, na nieprzyjaciela z prawdziwym szałem wojennym. Strategia ich jednakże po największej części pozbawiona jest wszelkiego regularnego planu.

Sposób walki u nich, w porównaniu z naszymi postępnymi wojennymi, pozostał w tyle o całe wieki, a uzbrojenie pod tym względem mu nie ustępuje.

Jako broń palna służy im wielki karabin, którego nabicie i wystrzelenie bardzo wiele czasu zabiera. Jedynie gwardya przyboczna Negusa zaopatrzona była w karabiny

systemu Remingtona. Przyrządzany tam proch jest posledniego gatunku, a zamiast kul nabijają kawałkami żelaza sklepanemi okrągło przy pomocy kamieni. Główną bronią są lance, krzywe szable i tarcze okute metalem i fantastycznie przybrane skórą i okonkami zwierząt.

Główne siły armii obozowały zazwyczaj w okolicach Debra Tabor, gdzie i Negus urządził swą rezydencją, bronioną przez silną baterją. Oficerowie odziani w czarne skóry panter i opatrzeni złotem i aksamitem ozdobione tarcze, stanowili straż przyboczną. Tu przyjmował na audyencyi Negus, siedząc na abissyńskiej sofie, odziany w swój kosztowny Margaf, z pod którego tylko oczy i czoło były widoczne. W ogólności jednakże strój jego był zawsze skromny, mało wyróżniający się od stroju poddanych. W bitwach odzienie, niesione przez czterech służących, często zmieniał, aby w ten sposób zmylić uwagę nieprzyjaciela. Mieszkanie Negusa było bardzo czyste i skromne. Dawniej działo się inaczej; czego dowodzi sławny pałac w Gondar, imponująca, ale pozbawiona gustu budowa portugalskich rzemieślników, ozdobiona kopułami i wieżami. Dziś wszystko to, wraz z sąsiednimi pałacami, leży prawie w gruzach, w których zamieszkują dzikie zwierzęta.

Pełnienie służby wojskowej jest obowiązujące w Abissynii. Rządzący prowincji obowiązani są, stosownie do obszaru rządzonego kraju, dostarczać młodzieży zdatnej do noszenia broni.

Dla Abissyńczyka służba wojskowa ma wiele uroku, albowiem prawie zawsze wydarza się okazja do rabunku; z tego powodu z chwilą ruchawki nie brak żołnierza, rekrutują się nawet ludzie będący w starszym wieku. O ubiór, broń i żywność musi każdy się sam postarać. W Szoa otrzymuje żołd jedynie czterystu ludzi wybranych z posiadłości królewskich; mianowicie po bryle soli wartości około 1 i pół marki.

Karności wojskowej w szeregach abissyńskich napróżno-by szukano.

Z chwilą ukończenia się boju gromadzą się kolosalne masy próżniącego narodu, na czele którego jedzie Negus na bogato przystrojonym mule pod wielkim czerwonym jedwabnym parasolem, stanowiącym oznakę najwyższego dostojęstwa, a z której jeszcze tylko najwyżsi kapłani mają prawo korzystać. Muzyka oznajmia przybycie Negusa. Za nim jedzie Abuna podobnie na uroczystości przystrojonym mule, będąc przybranym w czarny turban i czerwoną podszewką podbity czarny burnus. Dalej jedna z królowych, otoczona eunuchami i żołnierzami także na pięknym mule, okryta w bogato złotem haftowany aksamitny, niebieskiego koloru płaszcz,—twarz na sposób czerkieski zawoalowana. Wreszcie postępuje świta i duchowieństwo w paradnych strojach. W obozie obok namiotu królewskiego wznoszonym bywa namiot przeznaczony na pomieszczenie w czerwoną materją owiniętych tablic z przykazaniami Mojżesza. W namiocie tym odprawiają się modły. Teodor zwykł był jeszcze cztery centkowane tygrysy prowadzić. W podobny sposób odbywali tryumfalne wjazdy Rhamzes i Nebukadnezar, powracając z wojen, przyczem gnano niewolników i prowadzono trofea wojenne. Abissyńczyk jako zwycięzca jest okrutnym, traktuje zwyciężonego, zarówno zdrowego jak i ranego, w nieludzki sposób.

Oto państwo, którego tron w chwili obecnej jest osierocony, gdyż Negus Johannes, jak powiedzieliśmy, umarł. Nieprzyjaciele szturmują ze wszech stron: od północy i wschodu dzikie hordy Derwiszów, od południa panujący w Szoa, od północy-wschodu znajdują się Włosi. Owoc zdaje się być zupełnie dojrzałym na łup, lecz jak trudno go urwać—wiedzą tylko ci, którzy nieraz napróżno sięgali po niego.

Z bieżącej chwili.

— **Zwierzyniec warszawski** wzbogacił się dwoma młodemi tygrysami. Kupiono je w Berlinie, za 5.300 marek. Pod Czernym, nad brzegiem Wisły, schwytane dwa czarne łabędzie, będą też ofiarowane Zwierzyniowi.

— **Szkoła rzemiosł dla głuchoniemych i ociemniałych** otwiera się co niedziela i święta dla byłych wychowalców Instytutu, umieszczonych w terminie. W Instytucie uczą się miejscowi uczniowie w południowych godzinach rzemiosł: introligatorstwa, tokarstwa, ślusarstwa, stolarstwa, szewstwa męskiego i kobiecego, drukarstwa a niektórzy rzeźbiarstwa i drzeworytnictwa. Perski minister oświecenia Much-Ride-Daulo zwiedzał Instytut i okazał wielkie zainteresowanie się metodą nauczania głuchoniemych, którą objaśniał mu nauczyciel Nowicki.

— **Kapitały warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności** wynoszą wedle sprawozdania za rok ubiegły 593.040 rs. — Przytułek Ś go Władysława dla paralityków 90.000. — Towarzystwo opieki nad biednymi matkami i ich dziećmi 14.700. — Schronienie Nauczycielek 2.914 rs.

— **Polski atlas geograficzny** zaczął wychodzić od 1-go czerwca, wydawany nakładem redakcji *Wędrowca*. Składać się on będzie z 40 kart, opracowany jest na podstawie najświeższych badań i odkryć, wykonany zaś w kartograficznym zakładzie Holtza w Wiedniu. Wychodzić będzie zeszytami, zawierającymi po 4 mapy geograficzne; cena zeszytu 50 kop. Całość obejmie zeszytów 10. Opłacający cały atlas z góry otrzymają go za 4 rs. zamiast za 5 rs.

— **Pamiętniki** pozostałe po zmarłym ś. p. Piotrze Jakcie Bykowskim są doprowadzone do zeszłego roku. Pozostał również *dykcyonarz* prowadzony przez długie lata, w którym zmarły zapisywał uwagi i spostrzeżenia, odnoszące się do każdej osoby, którą poznał. Nie ma on być nigdy ogłoszony drukiem jako zawierający rzeczy czysto poufne. *Pamiętniki* mają podobno wyjść po latach dziesięciu.

— **Złoty medal** otrzymał na wystawie paryskiej potrecista Horovitz.

— **Medal na cześć Franciszka Smolki** z powodu jego czterdziestoletniego jubileuszu służby obywatelskiej zamówionym został w Wiedniu. Medal ten, ryty w złocie, przedstawia popiersie jubilata z napisem w okółko: „Franciszek Smolka.“ Na odwrotnej stronie kopia z wrytymi liczbami 1869—1889, powyżej gwiazda w wieńcu promieni.

— **Zwiedzenie kopalni w Wieliczce**, urządzone w obydwóch dniach Zielonych Świątek na korzyść miejscowego Towarzystwa Ś-go Wincenego a Paulo, odbywało się przy zrzęsim oświetleniu kopalni, ogniach sztucznych i tańcach w wielkiej sali podziemnej. Zabawa ta doroczna zawsze jest jednakowo liczna i ochocza.

— **Krakowskie Towarzystwo kolonii wakacyjnych** rozporządzało w roku zeszłym kwotą 1.529 zł. reńskich. Wysłano na kolonie dzieci 40: dziewcząt 21, chłopców 19. Prezesem Towarzystwa jest p. Edward Wojnarowski.

— **Krakowska rada miejska** uchwaliła jednogłośnie zakup 7 morgów gruntu na użytek nowego w uniwersytecie krakowskim Wydziału

Rolniczego. Urządzona tam będzie doświadczalna stacya rolnicza, a w przyszłości i klinika weterynaryjna. Wyznaczono na ten cel 10.000 zł. reń. Obecny na posiedzeniu rektor uniwersytetu, Dr Kasparek przyjął dar, dziękując wdzięcznie za niego.

— **Na publicznem posiedzeniu krakowskiej Akademii Umiejętności** generalny sekretarz akademii hr. Stanisław Tarnowski oddał cześć pamięci zmarłych w roku zeszłym członkom i prorektorom: hr. Alfredowi Potockiemu, Dr Alfredowi Biesiadeckiemu, Wawrzyńcowi Żmurce, Ignacemu Domeyce i Dr Jonatanowi Warszaurowi. Wśród spraw ogólnego znaczenia najważniejszym było sprawozdanie z kwestyi ustalenia przez Akademią pisowni polskiej. Pisownia używana przez Akademią nie została uznana za tak już dobrą, aby ją na użytek publiczny polecić można. Nad sprawą pisowni pracują pilnie wezwani w tym celu członkowie Akademii i profesorowie uniwersytetu krakowskiego.

— **Na wydawnictwo dzieł starych pisarzy**, których cenne prace nie były dotąd ogłoszone drukiem, lub zostały już wyczerpane, uchwiliła krakowska Akademia Umiejętności zapomogę w summie 1.500 złr. Na wydawnictwo dzieł naukowych, dostępnych dla ogółu wykształconych czytelników, przeznaczyła Akademia zapomogę 1.800 złr. Z funduszu tego wyjdzie wkrótce: „Geografia handlowa“ i „Historia filozofii greckiej.“

— **Na założenie bibliotek szpitalnych i więziennych w Galicyi** księgarnia Gubrynowicza i Schmidta przeznaczyła dobroczynnie przeszło 6 tysięcy tomów tak własnych wydawnictw nakładowych, jak i komisyjowych. Przyłączyło się do tego pocziwego przedsięwzięcia Towarzystwo „Macierzy“ i wydawnictwo dziełek ludowych, zostające pod redakcją p. Parasiewicza.

— **Księgarnia czesko-polska** otwartą będzie wkrótce w Wiedniu. Założycielem jest literat czeski, Hovorka, tłumacz dzieł polskich. W Wiedniu mieszka przeszło sto tysięcy Czechów, a trzydzieści tysięcy Polaków, potrzeba więc księgarni dla dzieł obu literatur.

— **Sokoły czeskie**, to jest członkowie czeskiego towarzystwa gymnastycznego, w liczbie 135 wyjechali z Pragi do Paryża w d. 5 lipca na paryżki turniej międzynarodowy.

— **Na wystawie Paryżkiej** główną siłą oddziały austriackiego jest: Matejko Polak, Munkaczy Węgier, Brożik Czech. Munkaczy szczególnie zajmują dwoma obrazami: „Chrystus przed Pilatem“ (znany w Warszawie) i „Chrystus na krzyżu“ Brożik wystawił obraz historyczny, scenę na Hradczynie w Pradze: wyrzucania rajców miejskich przez okno w przepaść Sławaty. Brożik stoi wyżej od Munkaczego technicznym opracowaniem przedmiotu; opracowuje artystycznie każdy szczegół: ztąd powstaje doskonała charakterystyka, znakomicie wykończona pod względem technicznym; wszystkie akcesorya oddane są z wielką skrupulatnością i według znawców Brożik pod tym względem stoi wyżej od Munkaczego, ale ten przewyższa go w kompozycji. Warszawa zna obu tych malarzy i nie przez samą miłość rzeczy swoich przenosi nad obu Matejkę.

— **Wystawa paryżka** liczy 43.000 wystawców. Włochów jest 2.000.

— **Międzynarodowa wystawa nowości** utworzona została w Londynie w ostatnich dniach Maja w ogromnej halli miejskiej: „Great Central Hall“. Dało to sposobność wynalazcom wszystkich narodowości do przedstawienia dzieł i pomysłów swoich. Obejmuje ona grup 16 i wszystkie

gałęzie przemysłu ludzkiego są tu reprezentowane.

— **Bogate zbiory przyrodnicze**, pozostałe po arc. Rudolffie austriackim, rozdano z woli cesarza między wiedeńskie zakłady naukowe i szkoły. Wyższa szkoła rolnicza otrzymała zbiór minerałów, zbiór geologiczny i paleontologiczny, 507 postaci wypchanych zwierząt, całkowity zbiór jej, preparatów osteologicznych i cenne czaszki. Reszta zbiorów została rozdzielona między gimnazjum męskie i żeńskie.

— **Koronacja poety hiszpańskiego** José Zorilla w zamku Alhambry, postanowiona przez Lyceum artystyczno-literackie Grenady, d. 5 Czerwca rozpoczęła swoje uroczystości, które trwać mają do 20 Czerwca. Poeta, rodem z Valladolid, otrzymał wśród zgromadzenia wszystkich poetów i wyższych liberalnych Hiszpanii złotą koronę z rąk królowej Krystyny, po którą przyklął u jej stóp. Jestto druga już koronacja w Hiszpanii. Pierwsza ukoronowała złotym laurem Manuela Quintana w Marcu r. 1855. Wtedy koronującą była królowa Izabella. Uroczystość odbywała się w Madrycie, w Izbie Senatu.

MYŚLI ODERWANE

Barbey d'Aurevilly.

— Ludzie wyższego ducha muszą z konieczności być posadzani o brak dobrego serca, bo widzą wady, niedostatki, przewinienia w tem, czemu połączają natury popolite.

— Najpiękniejszym istnieniem na ziemi jest posiadać geniusz i trzymać się w cieniu.

— Uwielbienia wyrażane dają nam miarę człowieka. Ludzi można sądzić według ich własnych sądów.

— Temu, kto się rządzi przekonaniem, będącym w obiegu, można pozwolić, aby go odbiegał.

— Nigdy ręka nie jest potężną w sprawach, w których serce nie bierze udziału.

— Żona Lota stała się bryłą soli, obróciwszy się w tył poza siebie i jest to wysoki symbol. Kto przystaje w życiu, aby się patrzeć w przeszłość swoją, kamienieje i nie jest już zdolnym do niczego.

OD WYDAWCY.

„Bluszc” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszc* dołącza się Arkusz 10-ty powieści pod tytułem *Alicya O'Brien*, przez Skeffingtona Thompsona.

TREŚĆ: Oskar Kolberg, przez S. K. — Złe i Dobre, (wiersz) przez M. I. — Wystawa pracy kobiecej, przez M. Ilnicką. — W Więzach, przez Anatola Krzyżanowskiego. — Alexandra des Bleschamps, przez M. I. — Nowiny paryżkie. — Państwo Negusa Negesti. — Z bieżącej chwili. — Myśli oderwane Barbey d'Aurevilly.

Dodatek obejmuje: Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: *Alicya O'Brien*, przez Skeffingtona Thompsona. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**